ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV Warszawa, dnia 17 czerwca 1922 roku. № 24

Juljusz German. Powieść.

24) TWARZ Z ZA KURTYNY.

VII.

CHŁOPIEC Z RÓŻĄ.

— Nie odchodź, nie odchodź— wołała zgrabna aktoreczka z dziecinną i bezczelną twarzą baletnicy, z krótko obciętemi puklami czarnych włosów, w białym trykocie, modelującym gładko kształty wysmukle wezbrane, wyciągając złożone modlitewnie dłonie do Żarskiego, który odtrącał ją od siebie wielkopańskim, pobłażliwym gestem, wysoki, wytworny, z chryzantemą w butonierce fraka, z mgłą nudy na ostro dostojnej twarzy patrycjusza.

W głębi sceny pstrą jaskrawością świecił kolorowo rój cyrkowych pajaców i tancerek w kusych, powiewnych spódniczkach, rozłożystych jak korony palm. Jarzyły się pod ciemnemi fryzurami wilgotne iskry oczu rozświetlonych, faliste zarysy ramion i biustów drgały różowo nad białością gazy.

Na tem tle, barwnem tęczową grą zabawy, odcinały się samotnie pokorna sylweta błagającej kobiety i postać męska wzgardliwa, z kolorowego wiru rozkoszy uchodząca niedbale w zimny cień tęsknicy.

Zasłona zasuwała się z dwóch stron powoli.

Lica aktorki zastygły niewinnie osłupioną maską małego tragicznego Pierrota. Z ust jej zerwał się melodyjny echem serenady krzyk zaproszenia do igrzysk miłosnych, nad ciężkim piaskiem szarych godzin ironiczną lotnością tryumfujący i w półjęku rozwiał się zdziwionym.

I między scenę a widownię padła uroczysta przegroda, unosząc w obłok oczekiwania obrazy ze snu żywego jasno wycięte.

Lili cofnęła się w kąt loży. Nieznacznie podniosła chusteczkę do oczu, w których sperliły się łzy żalu.

Nie do niej już płynie, nie do niej oddech tłumu tęskny, ubóstwiający nieśmiało a z życzliwością najszczerzej uśmiechniętą. Do innych leci ten pęd żarliwy, który oplata wieńcem pragnień najtajniejszych, wyznawanych jedynie ciszy marzenia, który urodę artystki wznosi ponad zwykłą kobiecość daleko i w widzach i w niej grającej budzi wiew baśni o kapłankach i aniołach.

Pół roku nie wolno jej grać, pół roku... Posypie się na nią bezlitosny popiół zapomnienia, z pamięci zachwytu, z wdzięcznego, krzepiącego podziwu wykreśli żyjącą, nieubłaganie odsunie w mrok.

Nikłą, wątłą pajęczyną wydały się jej w tej chwili błyski upewnień o niekończącem się jutrze, o przyszłości wciąż łaskawej promiennie.

Przeniknęło ją mrożące zimno pustki. Chora, bezsilna, już niepotrzebna... Niepotrzebna temu życiu, które szumi dokoła, kwitnie wprzód idące...

Uchyliły się drzwi loży. W ramie puszystych, siwych, gładko przyczesanych włosów zróżowiła się czerstwo twarz ministra.

— Oczom własnym nie wierzę! Ty w teatrze! A to niegrzeczna, lekkomyślna synowa! Kto pozwolił?

— Najmilszy teściu, Lili pozwoliła sobie sama. Taki ma już zwyczaj oddawna, że nikogo nie słucha.

— A Zbigniew?

— Naturalnie o niczem nie wie. Zresztą wezwali go dziś wieczór do jakiegoś jenerała czy do sztabu. W tych wojskowych dygnitarstwach nie rozeznam się chyba nigdy. Proszę nie patrzeć na mnie tak surowo. Od dwóch tygodni krokiem nie ruszyłam się z domu. No, nie mogłam już, nie mogłam... A dziś premiera...

— A nakaz lekarza, a nasze troski? Wartoby cię porządnie wyłajać, moja pani. Pamiętaj, że Zbigniew chodzi jak struty. Zrobił mi się chłopak ponury, jak żyd na pustyni. Trzęsiemy się wszyscy nad tobą a ty... Nieostrożna, niepoprawna, brzydka córeczka!

— Taka strasznie brzydka? Jeszcze i to na dodatek?

Minister spojrzał na nią uważnie.

Delikatne zarysy policzków, nosa i brody znaczyły się dobitniej w łagodnie miękkim owalu. Błękit źrenic przejrzysty, głęboki, odcinał się silnie od bladego kolorytu lic, przechodzącego w porcelanowe prawie tony. Wydawało się, że wszystka krew z tych lic zbiegła do ust purpurowych, szlachetnych w dumnem żądaniu należącej się słusznie radości.

Była to twarz Lili, znana z tylu fotografji i z przyglądania się częstego, lecz jej harmonję rozrywała dziwna sprzeczność ust szalonej markizy, świecących jak kwiat pocałunku, i oczu, które o nich nic nie wiedziały, ostrem pytaniem skrysztalone.

— Nie wyciągajże mnie starego na komplementy — rzekł, tłumiąc jowialnym uśmiechem nieuchwytny a przenikliwy niepokój, z jej spojrzenia wsączający się w myśli. — Schudłaś trochę, to prawda. Aleś za to bardziej interesująca. Mniej słodka, więcej tajemniczo piękna. Wzrok odpoczywa na tobie z przyjemnością po tych wszystkich prostackich, gminno rozlanych twarzach. A dziś innych prawie się nie widzi...

— Ładny demokratyczny minister. Gdyby kto posłyszał...

— Kulturę narodu mierzy się przeciętnym typem jego kobiet. Czy mógłby teraz powstać z naszej choć jeden marmur Rodin'a? No, to nieznośne czasy przejściowe, w których wszystko niweluje się w zapienionym pospiechu. Spodziewajmy się... Powiedział, zdaje się, Pascal: nie żyjemy, tylko spodziewamy się żyć. Spodziewajmy się więc, że ta płaskość zniknie w burzy, która przyjść musi...

Chmurnie ściemniły się oczy trybuna.

— Nie żyjemy, tylko spodziewamy się żyć—powtórzyła. I pomyślała: „Dlaczego wypowiedział właśnie teraz to zdanie, czytane kiedyś dawno?

Któż to przez niego oświeca pocieszeniem zamęt rozpaczy ukrytej"?

W głosie jej zabrzmiał znowu wesoły dźwięk ironicznego wezwania do zbliżeń czarująco nieznanych:

— Cóż to za czarny wróżbita! A z wyglądu taki lubo bialutki...

— Chcesz powiedzieć: *un petit vieux bien propre...* Masz rację, śmiej się z moich zrzędzeń. Drogi, miły jest ten twój śmiech... Niezwyciężony śmiech piękna... Paradne, zaczynam być przy tobie poetyczny... Ale, gdym cię już przyłapał, nie ujdziesz mi, zwodnico. Odwiozę cię do domu i dopilnuję, żebyś zaraz poszła do łóżka.

— Tak srogo? Użyjesz majestatu swej władzy? O, ze mną to trudno będzie...

Zamilkła nagle. Dobiegł do niej fragment rozmowy dwóch barczystych, wygolonych panów, rozpartych w ufnem zadowoleniu z siebie i w ugruntowanej pewności długich dni bez troski. Odwróceni plecami, stojąc w przejściu pod lożą, rozglądali się po teatralnej sali niedbale.

— Ale żyd spłatał Broniczowi sztukę! W jednym dniu trzy banki wypowiedziały udział w „Elektropolu".

— A ten ani okiem nie mrugnął i zapłacił. Grube setki miljonów. To go podcięło.

— Tak, musi z nim być bardzo krucho. Jeśli tego kryzysu nie przetrzyma, będzie musiał zaczynać od początku. Co za głupie czasy! Oto dziś los wielkich majątków...

— Mściwa bestja ten Menkeszewski. I ambitny! Ponoś go Bronicz raz za drzwi wyrzucił. I stąd ta cała historja.

— Ale podoba mi się chłop! Nic sobie na pozór z tego wszystkiego nie robi. Widziałem go przed chwilą. Chodził uśmiechnięty po korytarzu z jakąś tęgą a wściekle ładną, rasową babą, która przewracała do niego oczy, aż mnie pasja brała!

— O, masz go! Właśnie wszedł. W drugim rzędzie krzeseł...

— Lubię tę jego bezczelną i miłą minę. Psiakrew, to taki, że, gdyby strącili go do piekła, poprosiłby djabła, straszącego ognistemi widłami i kubłem płonącej mazi, o ogień do papierosa...

Spojrzenie Lili padło w tłum gorącą strzałą. I znalazło w momencie wśród skłębionego szeregu twarzy obcością zamazanych, kamiennie bezbarwnych, ten profil, od tylu tygodni niewidziany a najżywszej głębi wspomnień blizki.

Zawołała go wzrokiem pełnym nakazującej, bezgranicznej prośby. Był to poryw rwący się z najżywotniejszej treści, z wnętrza prawdy kryjomej, która poza świadomością zwykłą istniejąc, niczem oszukać się nie da. Wbrew woli pozornej niespodziewanie się ziskrzył, a w zgodzie najgłębszej przyjęła go myśl rozradowana. Zdziwiła się i uśmiechnęła równocześnie.

Bronicz zwrócił ku niej głowę w szorstkim odruchu zaskoczenia. Drgnął. Czarne oczy rozbłysły gwałtownie. Skłonił się, zawahał. Ruchliwa twarz stężała wnet szybką decyzją. Zaczął torować sobie swobodnie drogę w rojowisku widzów.

— Któż to kłaniał ci się, Lili?— spytał minister, nakładając binokle.

— Bronicz. Zaraz tu przyjdzie.

Stary Olszański uniósł się na krześle, poczerwieniał. Lica sfałdowały mu się oburzeniem, zmarszczyły się złością zgrzybiałą.

Lili spojrzała nań jasnym wzrokiem.

— Cóż znowu, papo? Wyglądasz, jakbyś na serjo się rozgniewał. Zupełnie ci z tem nie do twarzy.

I zarumieniła się zaraz sama, uderzona dotkliwem upokorzeniem: „O czem on musi myśleć i jak na mnie patrzeć... że ja z Ryszardem... Najtajniejszy kwiat orchidei wywleczony pod światło"...

Wyprostowała się w geście obronnej dumy.

— To są drażliwości starego człowieka—rzekł Olszański przymuszonym a układnym tonem. Wstał. Opanował gniew, drgający w rysach twarzy, ułożył je w obojętność znużoną.

— Nie bierz ich sobie do serca i nie dziw się, że odchodzę. Zbisiowi, synowi memu — głos na sekundę starczo przygnębiony łzawem ciepłem otulił te słowa — byłoby bardzo przykro, gdyby wiedział... bardzo przykro... I ja mu nie powiem.

Krótko, energicznie zapukano do drzwi loży.

Bronicz wszedł śmiało, nachylił się do ręki Lili. Minister dotknął sztywnie jego dłoni.

— I raz jeszcze proszę, nie zabawiaj się tu długo. Jesteś pacjentką. I brawura ma swoje granice. A pamiętaj, że twoje zdrowie już nietylko do ciebie należy.

— Jeszcze jeden akt. Potem skrzystam z obietnicy papy. Pojadę grzecznie do domu ministerjalnym powozem.

— Teść coś nie w chumorze — rzekł Bronicz, gdy zostali sami. — Pewnie dlatego, żem ośmielił się odwiedzić cię w loży. Uznaję to i rozumiem. Aleś tak popatrzyła... Musiałem przyjść.

— Ani mi przez myśl nie przeszło, żebyśmy mieli spotkać się dziś wieczorem. Po miesiącach... Ale mówili o tobie jacyś tu pod lożą. Zobaczyłam cię. I szarpnęła mną chęć, od mojej woli silniejsza, usłyszenia twego głosu żywego, dotknięcia twej ręki, przekonania się, że jesteś naprawdę. Nie wiem skąd... Jakby chciała tego druga we mnie, która chwilami wie stokroć więcej, niż ja...

„Druga"? Zamajaczył mu niewygodny cień przypomnienia: Twarz znana nowym urokiem nagle się odkrywa. Gdy chce go dobyć z miłosnego splotu, ginie, przepada bez śladu. Zostaje w obcym zapachu muszkatu i tuberozy białość zimna, w oszukańczem zbliżeniu zamiast rozkoszy tępem zamgleniem wiejąca, upodobaniu daleka. Nad chwilą zawodu rozedrgany blask dziwu, spowity w kir niepamięci. Odsunięta w toń wielkiego miasta cielesność kobiety, której oddanie, na ofiarę prawdy marzeń rzucone, było, jak i te marzenia, daremne. Daremne? A jeśli wszystko ma cel ukryty?

Rzekł, patrząc bystro wprost w oczy Lili:—Ty jesteś cudnie jedna. A ta, schowana w tobie, może mądrość zna inną, lecz nie jest piękniejsza.

— A jednak zmieniłam się, powiedz? Ostatni raz widziałeś mnie na moim ślubie...

— I ujrzałem wtedy w twem spojrzeniu... jak to określić... po raz pierwszy jasność dziwaczną, podobną widmu błyskawicy... Jasność, która może jest nad nami—dodał z wahaniem. — Trochę tego świata i teraz masz w oczach...

— Nad nami? Chyba i w nas, i w nas!—szepnęła gorączkowo.

Owiał go jej oddech i ciepło wonne smugą fiołków. Ust tkliwy szkarłat mocniej zaświecił.

— To był jęk niepokoju! Lili, mów zaraz, jak czujesz się naprawdę?

— Źle—zaszemrał zrezygnowany słodko głos odważnej dziewczynki.— Zresztą wiesz. Musiał ci o tem mówić Szreniawa. On patrzy przenikliwie w krwiste tryby ludzkiej maszyny... Ale ja nią nie jestem, nie, chociaż to we mnie! On cię nie łudził—skończyła spokojniej. — Dopiero teraz, gdy widzę ciebie blisko, ogarniam wszystko myślą dokładnie. Rozwidnia mi się... nawet to. czego nie widziałam, przy czem nie byłam... Czekaj...

Uśmiech skupienia zastygł łagodnie w jej oczach. Przymknęła je lekko.

Dalszy ciąg nastąpi.

Józef Relidzyński. Nowela.

3)

DAMA PIKOWA.

Na to oświadczyła mi, blednąc, to płonąc, że *musi* wyjść za niego. Zrozumiałem. Cisnąłem jej w twarz straszliwe słowo, poczem dopadłem Włocha, połamałem mu na grzbiecie laskę i wyszczułem go ogarami, zostawiając resztę na później... Cały dzień uganiałem konno po polach, aby wywietrzyć ze łba wściekłość, pod wpływem której mogłem był Izę zabić. Ona tymczasem zamknęła się w swoim pokoju. Na kolację nie zeszła. Dałem jej nareszcie spokój i położyłem się spać; oczywiście— nie zmrużyłem oka. Nazajutrz, z samego rana, już spokojniejszy, zapukałem do jej pokoju, aby się z nią rozmówić, wspólnie coś postanowić i nie dopuścić do skandalu, który wisiał już w powietrzu. Nikt mi nie odpowiedział. Nacisnąłem klamkę, drzwi się otworzyły. Pokój był pusty. Wokół nieład, a na biureczku kartka. Na kartce skreślone były jej ręką te słowa: „Idę za mojem przeznaczeniem i człowiekiem, którego kocham. Wybaczcie, jeżeli możecie. Nie szukajcie mnie i zapomnijcie o mnie"... Jak się okazało, wyjechała cichaczem, o świcie, na ranny pociąg warszawski. Skatowałem służbę, która brała udział w jej ucieczce, jakkolwiek, niewątpliwie, byłoby politycznie nie dać nic poznać po sobie i *„faire bonne mine au mauvais jeu"*. Trudno, nie byłem nigdy politykiem!.. Tegoż wieczoru jeszcze wyjechałem do Warszawy. Po długich poszukiwaniach, odnalazłem wreszcie Izę na podmiejskiem letnisku. Była w poważnym stanie i mieszkała z przeklętym Włochem, którego nie zastałem w domu, byłbym go bowiem, jak psa, zastrzelił! Błagałem ją, aby rzuciła makaroniarza i wracała ze mną. Gotów byłem, Bóg mi świadkiem! wszystko jej przebaczyć i zapomnieć. Proponowałem jej, przyczem sytuację ułatwiał mi beznadziejny stan ojca, który w dalszym ciągu był nieprzytomny... pomyśl tylko, co przeżyłem: tam konający ojciec, tu shańbiona siostra!.. Otóż proponowałem jej, że wrócimy na wieś, zamkniemy ojcu oczy, poczem natychmiast wyjedziemy za granicę, gdzie będzie mogła odbyć dyskretnie połóg. Zaklinałem ją na grób matki i na pamięć umierającego ojca. aby, jakkolwiek skandal jest już *fait accompli*, nie dopuszczała do ostateczności, któraby na tarczy herbowej Brochwiczów pozostawiła niestartą plamę i rodzicom nie dała spokoju w trumnach. Odmówiła mi. Na wszystkie moje prośby i perswazje odpowiadała mi jedno wkółko: „Kocham go!.." Zapytałem ją po raz ostatni, czy to jej nieodwołalna decyzja? Odpowiedziała, że tak! Prosiłem ją jeszcze, aby się namyśliła; zażądałem, żeby wybrała pomiędzy nami a nim. Wybrała jego! Wówczas zaciąłem się. Duma Brochwiczów krwawą falą uderzyła mi do głowy. Nagadałem jej okropnych słów, zapowiedziałem, że ma zapomnieć, iż miała kiedykolwiek ojca i brata, trzasnąłem drzwiami i wyszedłem... Po przyjeździe do Brochwicz, zastałem ojca w agonji. Zmarł na moich rękach, nie odzyskawszy przytomności, co było jedynem szczęściem w naszem nieszczęściu. W ostatniej wprawdzie chwili jakby kogoś szukał wzrokiem—tak mi się przynajmniej zdawało—z pewnością jej... Długi czas nie mogłem się otrząsnąć z tego podwójnego ciosu, no — i skandalu, który, naturalnie, nie dał się już ukryć. Rozchorowałem się, wyjechałem za granicę, podróżowałem, hulałem, starałem się oszołomić. Ostatecznie uspokoiłem się i zapomniałem. Wyszumiałem i ożeniłem się... Tymczasem stało się wszystko tak, jak przewidywałem i jak to Izie zresztą przepowiedziałem. Wkrótce po moim ślubie dostałem od niej rozpaczliwy list, w którym mi pisała, że makaroniarz ją porzucił, pozostawiwszy w nędzy, z krzyczącą pamiątką przy piersi, i radziła się, co ma robić. Na list ten nie odpowiedziałem. Potem zatelegrafowała mi jedno tylko słowo „ratunku". Telegram pozostawiłem również bez odpowiedzi. Mimo to, raz jeszcze zwróciła się do mnie listownie, donosząc mi, że ginie z głodu, że dziecko jest ciężko chore, i błagając o pomoc, jeżeli nie dla niej, to przynajmniej dla niewinnego dziecka. Wtedy to popełniłem istotnie grzech ciężki—Boże, przebacz mi!.. nie wiem, skąd się wzięła we mnie taka brutalność i nieludzkość? Odpisałem jej krótko i węzłowato, straszno mi na samo wspomnienie — starym Brochwiczem wstrząsnął dreszcz:—„Zdychaj pod płotem razem ze swoim bękartem!.."

Zaległa chwila ołowianego milczenia.

Jakby coś niewidzialnego przesunęło się przez pokój...

Powiało dziwnym chłodem...

Młody Brochwicz siedział bez słowa, z twarzą ukrytą w dłoniach, jakby skamieniały...

W ołowianej ciszy zabrzęczały tylko czasem od turkotu ulicznego filiżanki lub kieliszki na srebrnej tacy...

Pan Anastazy ciągnął dalej, z widocznym wysiłkiem; głos miał zmieniony:

— Na ten list mój już się więcej nie odezwała i straciłem ją z oczu. Ubocznie tylko dowiedziałem się, że dziecko jej umarło, a ona... Boże, odpuść jej tę rdzawą plamę na tarczy herbowej Brochwiczów!.. kupczy swem ciałem... Na szczęście, wyjechała wkrótce do Petersburga.

Potem przez kilka lat nic o niej nie wiedziałem. Aż tu nagle dowiaduję się od jednego z moich przyjaciół we Włoszech, że odbył się jej debiut w operze neapolitańskiej i został uwieńczony nadzwyczajnem powodzeniem. Wkrótce była znana i uznana; pełno było o niej w gazetach na obu półkulach. Zbierała laury i dolary. Ni stąd, ni z owąd rzuciła scenę. Opanowała ją inna manja—tym razem... rulety. Zamieszkała w Monte, gdzie grała i zgrywała się, aż wreszcie zgrała się do nitki. Otrzymała „wjatyk" na drogę i przeniosła się do Paryża, angażując się z powrotem do opery. Tam los jej znowu się uśmiechnął. Na balu maskowym w Wielkiej Operze, w kostjumie damy pikowej, skąd pochodzi jej słynny portret, poznała bogatego dziwaka, okultystę i jakiegoś masona (ładna historja, co?), słowem, barona Gorlitza. Do dziś dnia nie wiem, jakiej był on narodowości? Obawiam się, że szwab, lub, co gorzej — żyd! Wkrótce go poślubiła i wyjechała z nim do Indyj, gdzie lat kilka spędziła. Po jego śmierci, z odziedziczonemi miljonami zjechała do Warszawy. Tutaj jakiś czas, kupiwszy śliczną willę i prześlicznie ją urządziwszy, sama nigdzie nie bywając, przyjmowała u siebie trochę ludzi, przeważnie jednak tylko artystów i do tego zwarjowanych spirytystów. Urządzała z nimi seanse spirytystyczne, co nie przeszkadzało, że—sądząc z pozostawionej przez nią zasobnej piwniczki— lewitacje te musiały być połączone z wcale niezłemi libacjami. Ale *„de mortuis aut bene, aut nihil"*... Rychło jednak zachorowała na nową manję: dewocji i filantropji. Pozatem—tak przynajmniej utrzymywała

jej panna służąca, którą udało mi się z wielkiemi ofiarami przekupić, a którą, niestety, nieboszczka później wydaliła, za to, że bez pukania, wbrew wyraźnemu zakazowi, ośmieliła się wejść do pokoju, gdzie pani jej i stary Dominik w półświetle przyćmionej lampy pogrążeni byli w jakichś tajemniczych machinacjach—Iza zajmowała się praktykami magicznemi. Słowem, zdziwaczała do reszty. Oddaliła całą służbę, z wyjątkiem Dominika, który odtąd był nawet kucharzem. Zerwała zupełnie kontakt ze światem, z którym jedynym jej łącznikiem stał się odtąd tenże Dominik. Jestto stary, zaufany jej kamerdyner, którego przywiozła ze sobą z zagranicy, dziwna i niesamowita figura, to nieznośne bydlę właśnie, o którem ci opowiadałem i którem uszczęśliwiła nas w testamencie. Resztę wiesz już... Uff! Oto wszystko.

— Nie wszystko jeszcze...—rozległ się nagle w drzwiach pokoju głos tak dziwny i tak obcy, że Stefanowi, który właśnie podnosił do ust kieliszek koniaku, kieliszek ten wyleciał z ręki i z brzękiem rozbił się na tacy, pan Anastazy zaś odruchowo wtulił się głębiej w fotel. Oczy ich pobiegły, przerażone, ku sobie, poczem skierowały się ku drzwiom.

Na progu stał nieruchomo dziwny człowiek...

Był on maleńki, a może tylko wiekiem schylony, nieprawdopodobnie chudy, o dużej, kulistej głowie i wypukłem czole. W bok zaczesane, długie, brudno-siwe włosy tworzyły coś w rodzaju tupetu, z pod którego przeglądała żółtawa czaszka. Twarz miał pomarszczoną, podobną do gąbki, gładko wygoloną. Z pomiędzy obwisłych, sinawych warg, w jakimś nieokreślonym a niepokojącym uśmiechu, sterczał zczerniały ząb. Nadewszystko jednak dziwne były oczy przybysza. Podłużne, trochę skośne, maleńkie, niezdecydowanej barwy, żarzyły się one wewnętrznem światłem i miały moc niezwykłą. Ze swoją cerą oliwkową, żółtemi rękami i sinemi paznokciami, tkwiący w staroświeckim, podniszczonym fraku, schludnej koszuli i czystym krawacie, których biel jednak jakby pożółkła od starości—tajemniczy starzec podobny był raczej do figury woskowej z jakiegoś *panopticum*, niż do człowieka z krwi i ciała. Tylko te oczy...

Moment upiornej ciszy przerwał ochrypły nieco, gniewny głos Brochwicza-ojca, który pierwszy ochłonął z niesamowitego wrażenia.

— Co Dominik tam powiada?

— Mówię, że nie wszystko jeszcze...—zakasłał—zdołałem przygotować na przyjęcie młodego pana—odrzekł zapytany z cudzoziemskim akcentem, lecz wyrażając się dziwnie poprawnie—trzeba jeszcze poprzepalać pokoje i porobić konieczne porządki. Na jutro jednak będzie wszystko gotowe.

— W jaki sposób Dominik się tu znalazł?

Służący znów zakasłał. Nieprzyjemny ten kaszel zgrzytał po uszach, jak żelazo po szkle.

— Drzwi od przedpokoju były uchylone—powiedział z dziwnym swoim uśmiechem, który mroził krew w żyłach.

— Ładna historja!—pan Anastazy zerwał się z fotelu—widocznie Janowa ich nie domknęła. Mogli nas okraść, jak nic!.. Nie! ta służba dzisiejsza, czyste bolszewiki... Czego Dominik chce, u djabła?

— U pana...—sprostował służący.—Chciałem się przedstawić młodemu panu...

Słowom tym towarzyszył uśmiech i błysk oczu, od których Stefanowi, niewiadomo dlaczego, zrobiło się jakoś nieprzyjemnie.

— Stary Brochwicz, machnąwszy gniewnie ręką, wybiegł do przedpokoju dla przekonania się, czy wszystko jest na swojem miejscu.

Dominik zakasłał.

Młody Brochwicz nerwowo zapalał cygaro.

Spojrzeli na siebie...

Miarowo, obojętnie tykał jakiś zegar...

Zabrzęczała porcelana, to dźwiękło szkło na srebrnej tacy...

Wreszcie Stefan przemówił, siląc się na uprzejmość i spokój, choć w głowie jego dźwięczało raczej wszystko inne:

— Mam nadzieję, że będziemy wzajemnie zadowoleni ze siebie.

— Zrobię wszystko, co do mnie należy...—brzmiała odpowiedź.

— Będę umiał to ocenić—i malarz wyciągnął rękę w kierunku służącego, chcąc mu ją podać.

Ten jednak nie ruszył się i wycedził:

— O, zbytek łaski dla prostego służącego!

Spojrzeli znów na siebie...

Miarowo, obojętnie tykał jakiś zegar.

Zabrzęczała porcelana, to dźwiękło szkło na srebrnej tacy...

— No, na szczęście, nie było złodziejaszka—rozległ się z przyległego pokoju głos pana Anastazego, który za chwilę wszedł do gabinetu.

— A na przyszłość proszę mi nie wchodzić bez pukania!—zwrócił się do Dominika.

— Pukałem, tylko panowie nie słyszeli.

— I nie odzywać się bez zapytania!

— Czekałem na nie, jednak nie mogłem się doczekać.

— I wogóle nie przychodzić do mnie niewołany, chyba, że młody pan z czemś lub pocoś przyśle!

— Zastosuję się do rozkazu.

— Nieznośne bydlę...—mruknął ojciec do syna, poczem suchym i ostrym tonem rozkazał służącemu:

— A teraz niech-no Dominik wraca do domu i zabiera się do roboty. Jutro rano przyjechać dorożką po rzeczy młodego pana i aby mi wszystko było w porządku i syn mój był z niego zadowolony, inaczej...—zawahał się chwilę—będzie inaczej!

Po chwili rozległo się trzaśnięcie drzwi frontowych.

— Cóż ty na tę kreaturę?—zwrócił się stary Brochwicz do młodego.

— Dziwne to wszystko... bardzo dziwne...—mówił, zamyślony, raczej do siebie, Stefan, chodząc nerwowo po pokoju i od czasu do czasu targając bujną czuprynę.

— Co dziwne?—zdziwił się pan Anastazy.

— Ech, nie, ojcze... napijmy się lepiej koniaku!

Napili się.

Coś mi straciłeś na humorze, mój chłopcze!

— Zmęczenie drogą... Wiesz co, ojcze, zdaje mi się czasem, że to wszystko to tylko sen, dalszy ciąg tego, który miałem w wagonie.

— Jakiż to sen? Nic mi o nim nie wspominałeś.

— Przykry sen...

— Przykry?—w głosie pana Anastazego brzmiało zdumienie i wyrzut.

— Bardzo przykry!.. I oby...

— Oby co?

— Oby pozostał tylko snem...

— Nie rozumiem cię, Stefanie! To chyba wpływ wina?

— Może wina, może—winy...

Stary Brochwicz wzdrygnął się, jak czasem, kiedy to mówią, że śmierć zajrzała w oczy...

Nazajutrz, około południa, Brochwiczowie w różowych humorach (zmory wczorajszego śniadania rozproszyła ulubiona ich łaźnia i operetka, po której nastąpiła wesoła kolacyjka „z dziewczynkami", przyczem ojciec ze synem bawili się swobodnie i harmonijnie, jak dwaj zgrani ze sobą przyjaciele) wybrali się na zwiedzenie odziedziczonej willi, do której młody miał dziś jeszcze się wprowadzić.

Dalszy ciąg nastąpi.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

18) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Nic nie było łatwiejszem dla niego jak dostać się do Finlandji. A tam potrafiłby się tak urządzi, aby przejechać z rodziną do Szwecji lub do Anglji. Nie znajdował odpowiedzi na te pytania, które zadawał sobie ciągle.

— Czy ośmieliłbym się powiedzieć to Lydji Siergiejewnie? — pomyślał raz. — Jakby to osądziła ona, która jest samą czystością?

Potrzeba tajenia czegoś przed tą dzieweczką była mu dziwnie przykrą.

Ona utworzyła sobie o nim pojęcie tak podniosłe, że go to zmuszało niejako do przerastania samego siebie. I rzecz szczególna, Lydja nie mówiła nigdy o bolszewikach. Nigdy nie wymknęło jej się jakieś słowo gwałtowne przeciw Leninowi lub Trockiemu. Zdawała się żyć, w mieście pustoszonem przez straszliwą epidemję, od której trzeba się wystrzegać, ale o którą nie obwinia się ludzi.

Bank Północny, jak wszystkie inne banki Piotrogrodu, znajdował się w rękach bolszewików. Zajmowali go czerwogwardiejcy, a w gabinecie dyrektora rezydował komisarz. Sawinski widywał codziennie tłumy ludzi wyczekujących przed drzwiami, aby naocznie przekonać się o własnej ruinie.

Bank wypłacał nie więcej ponad 150 rubli miesięcznie na rachunek zdeponowanych sum. Właściciele kaset byli wzywani serjami. Konfiskowano klejnoty i złoto znajdujące się w tych schówkach. Nieopisany bezład panował w tym gmachu, w którym do tak niedawna wszystko szło jak w zegarku.

Widok ten drażnił Sawinskiego. To też spędzał zaledwie godzinę dziennie w banku, godzinę trawioną na długich i pustych dysputach z komisarzem rządowym.

Pewnego dnia przyszedł tam żyd w okularach ze słówkiem polecającem od Simeonowa. Ten przedstawiciel rządu zadał Sawinskiemu kilka pytań w sprawie układów ekonomicznych i finansowych z Niemcami.

Sawinski poznał natychmiast, że niema on najmniejszego pojęcia o interesach, ale że jest inteligentnym i chcącym się nauczyć. Myśl, że człowiek zupełnie nowy, który nigdy nie miał nic wspólnego z życiem finansowem, miał rozstrzygać o najważniejszych zagadnieniach z pełnomocnikami niemieckimi, miała w sobie coś poprostu śmiesznego. Ale rozmowa z Sawinskim odbyła się w tonie zupełnie przyzwoitym.

W ciągu tego tygodnia, kiedy nerwy Sawinskiego znajdowały się w stanie najwyższego napięcia i kiedy rozdrażniony, sam z sobą szukał zwady, przyszedł do jego mieszkania żołnierz o twarzy dość rozgarniętej. Żołnierz ten prosił, żeby mógł pomówić z Sawinskim w cztery oczy, upewnił się, że drzwi za nimi były dobrze zamknięte i rzekł wreszcie półgłosem:

— Przysyła mnie inżynier Muszyn. Pragnie się z panem widzieć. Mieszka na Mojce pod 38 numerem na drugiem piętrze. Niech pan przyjdzie po zachodzie słońca i zapyta o mieszkanie Kartaczewa. To ja panu otworzę drzwi.

Pierwsze wrażenie Sawinskiego było miłe.

— Po tylu łotrach z obu stron zobaczę wreszcie twarz uczciwego człowieka—powiedział sobie. — Ten jest Rosjaninem, który nie zna kompromisów.

I pomyślał o tem koczowniczem życiu, jakie musiał wieść Spasski więcej niż od miesiąca, kiedy się poraz ostatni widzieli. Nic o nim nie słyszał. Gdzie on się obraca? Jedyna rzecz, jakiej się dowiedział było, że żył, gdyż bolszewicy, którzy lękali się jego energji i widzieli w nim jednego z najgroźniejszych wrogów, podali do dzienników ogłoszenie, przyrzekające sto tysięcy rubli temu, kto wyda Spasskiego żywego lub umarłego.

Sawinski popatrzył na żołnierza, który czekał odpowiedzi.

— I to także uczciwy człowiek— pomyślał. — Więc jeszcze znajdują się tacy. Sto tysięcy rubli, to byłby majątek dla niego.

Uścisnął mu rękę i kazał powiedzieć „inżynierowi Muszynowi", że będzie u niego o szóstej. Gdy został sam, przemknęła mu przez głowę myśl:

— Otóż i wplątałem się w dość ryzykowną historję. A gdyby tak sprytny Simeonow kazał mnie śledzić? Co jest na końcu tej afery? Więzienie lub egzekucja natychmiastowa?

Myśl, że Simeonow każe go śledzić, zabawiła go.

— Jeżeli się mną zajmuje—powiedział sobie — to musi wiedzieć, że widuję codziennie Lydję Siergiejewną, która go tak obchodzi.

Ale wnet oddał się cały nadziei ujrzenia Spasskiego, która mu była tak miłą.

Z nadejściem nocy odprowadził do domu Lidję, z którą przechadzał się z jakąś godzinę nad brzegiem Newy. Korciło go powiedzieć jej, że idzie do jej przyjaciela Spasskiego, ale uznał za rozsądniejsze przemilczeć. Rozglądając się ukradkiem nie dojrzał nikogo, ktoby się zdawał ich śledzić. Dla większego bezpieczeństwa zaszedł do pałacu Wołyńskich, wypił tam filiżankę herbaty, potem przez dziedziniec i dom Szupow-Karaminów wyszedł na Miljonową. W kilka minut znalazł się przed wskazanym domem na Mojce.

Sień wychodząca na kanał była źle oświetlona. Nie spotkał portjera i przez nikogo nie zaczepiony poszedł na drugie piętro. W chwilę potem znalazł się w małym pokoiku, gdzie na sofie była przygotowana pościel i ujrzał przed sobą Spasskiego w mundurze prostego żołnierza.

— To dziś najlepsze przebranie w Rosji — rzekł z uśmiechem Spasski, widząc zdziwioną minę gościa. — Jestem jednym z trzech czy czterech miljonów bezimiennych żołnierzy, którzy obecnie włóczą się po kraju. A oto moja książeczka.

Podał Sawinskiemu zatłuszczoną książeczkę wydaną na imię Iwana Fomina Karpowa z gubernji Orelskiej.

— Pojmujesz pan, kochany Mikołaju Władymirowiczu, że nie wyświadczę bolszewikom zaszczytu troszczenia się o ich policję... Wymigałem się carskiej Ochranie. A dzisiejsi ludzie to niemowlęta w porównaniu z ówczesnymi policjantami.

Ordynans Spasskiego przyniósł herbatę.

Jak z Simeonowem rozmowa zaczęła się od spraw osobistych i Sawinski zauważył, że znowu nazwisko Lidji Siergiejewny wysunęło się na pierwszy plan.

Spasski chciał się dowiedzieć, czy została w Petrogrodzie i mówił o niej w sposób, który niemal rozrzewnił Sawinskiego.

— Chciałbym ją bardzo zobaczyć—rzekł Spasski — bo to urocze dziewczę i pod pozorną nieśmiałością kryje charakter prawy i prosty.

Ufam jej. Kobiety są więcej warte w naszym kraju niż mężczyźni, Mikołaju Władymirowiczu. Ale lękam się narazić ją niepotrzebnie... Zobaczę się z nią jedynie w takim razie gdy to będzie niezbędnem. Może zechcesz jej pan powiedzieć, że jej nie zapomniałem, że myślę o niej...

— Powiem jej to z pewnością— odpowiedział Sawinski.—Kocham ją także jak własną córkę. Mówimy często o panu. Pomimo obecnych okropności jej wiara w Rosję jest niezachwiana. Dla mnie jej młodzieńczy zapał jest nieoceniony. Rozgrzewa mnie w chwilach zniechęcenia, kiedy mam ochotę rzucić wszystko i uciec. Żyjemy w złej epoce, Andrzeju Iwanowiczu. Człowiek staje się w niej tchórzem...

Umilkł przy tem słowie, które wydało mu się napełniać cały pokój. Zamyślił się, spojrzał na Spasskiego który zdziwiony nie spuszczał z niego oczu i nagle zdecydował się opowiedzieć tamtemu spotkanie z Simeonowem i pułapkę, w jaką się dał uwikłać.

Ku jego wielkiemu zdumieniu, Spasski, zamiast stawiać zarzuty, pochwalił mu nawiązanie stosunków z rządem. Oczywiście nie należało kompromitować się publicznie i dodawać w ten sposób terorystycznym dyktatorom moralnego poparcia. Ale poza tem zastrzeżeniem uważał, iż mogło być rzeczą ogromnie korzystną pozostawać w zetknięciu z przywódcami Smolnego.

— Widzisz pan — rzekł — jedynym błędem i winą w obecnych czasach byłoby opuścić Rosję. Trzeba żeby wszyscy prawdziwi patrjoci pozostali tu na miejscu. Niech tacy ludzie jak ja prowadzą otwartą wojnę z bolszewikami. Niech tacy ludzie jak pan będą gotowi, gdy przyjdzie czas, ująć ster interesów. Pan nie możesz się ukryć pod żołnierskim mundurem; musisz zostać w Petrogradzie, a jeżeli, aby tu żyć, będzie ci trzeba pogadać parę razy w tygodniu z bolszewikami nie widzę w tem nic zdrożnego. Będziemy potrzebować pana tutaj... Ja jadę nad Don, połączyć się z generałami Aleksiejewem, Korniłowem i Koledinem... Tam jest zbawienie... Ale potrzeba nam ludzi pewnych i wybitnych w Petrogradzie. Będę panu przesyłał część koniecznych nowin... Będą je panu przynosić ludzie całkowicie zaufani i najczęściej ustnie. W Rosji ludzie mają manję pisania. Nic bardziej niebezpiecznego. Nie będzie pan otrzymywał odemnie żadnych listów, chyba w nadzwyczajnych wypadkach, a i wtedy trzeba je będzie czytać oczami duszy i rozumieć z półsłówek. Nie będą nigdy adresowane do pana, ani podpisane, ani pisane przezemnie, bo te łotry znają moją rękę. Poznasz je pan po tem, że w drugiem zdaniu będzie wyraz „jeszcze". A teraz przedstawię panu nasze plany, ale uprzedzam z góry, że potrzeba nam będzie pieniędzy, bo tam nad Donem nie mają ani grosza, a bez pieniędzy niema armji. Trzeba się będzie porozumieć ze sprzymierzeńcami i uświadomić im, że jedyny sposób obalenia bolszewików to pomoc dla stworzenia ochotniczej armji na ziemiach kozackich.

Twarz Spasskiego promieniała; był w swoim żywiole. Życie dla niego było zupełnie proste: miał cel, któremu poświęcił wszystkie swoje władze. A cel ten był wspaniały: wyswobodzenie Rosji popadłej w najbardziej poniżające niewolnictwo. Cóż piękniejszego można było postawić jako ideał działalności młodzieńca, pełnego zaufania we własne siły?

Spasski wyliczał teraz tysiączne szczegóły tyczące się zorganizowania sposobów szybkiego i pewnego porozumienia pomiędzy Donem i Petrogradem. Przewidywał wszystko; i to także, iż Sawinski mógł być zaaresztowanym lub poprostu śledzonym. Udzielał mu też najbardziej drobiazgowych przestróg, jak się miał mieć na baczności i w razie czego zmylić czujność szpiegów, gdyby ich dostrzegł kręcących się w pobliżu swego domu.

Gdy się rozstali późnym wieczorem, Sawinski z kolei uczuł się pełnym żywotności i odwagi. I przypominając sobie rozpromienioną twarz Spasskiego myślał:

— Widziałem człowieka szczęśliwego. Tak; w tych okropnych czasach, ten znalazł szczególnie pomyślnym trafem, właściwe pole działania dla siebie i zużytkowania swoich duchowych zasobów. Nie wie o tem; nie zdaje sobie z tego sprawy. Mówi jak ja, jak my wszyscy, że wstydem jest być dzisiaj Rosjaninem, a przecież nigdy nie przeżywał godzin pełniejszych i piękniejszych.

I Sawinski oddając się swej manji filozofowania, zaczął gorączkowo iść za biegiem myśli tak nowych, tak bogatych w podniosłe nadzieje, pociągających go urokiem nieprzepartym.

VII.

FINLANDJA.

Od trzech tygodni blisko, Sawinski pochwycony wirem wypadków nie był u swoich w Finlandji. Odkładał to z dnia na dzień. Ale w duszy nurtował go wyrzut sumienia, któremu nie mógł się opędzić. Żona oczekiwała go. Nie skarżyła się, co było u niej rzeczą wyjątkową. Nie mówiła o sobie, tylko o dzieciach, które wyczekiwały ojca z utęsknieniem, zwłaszcza Borys. Niepokoiła się również, wiedząc iż mąż jej narażonym jest na tysiące niebezpieczeństw, które powiększała jej wyobraźnia w oddaleniu. Ale pokładała w nim bezgraniczne zaufanie; wiedziała, że zatrzymują go ważne sprawy i nie wątpiła, że skoro tylko uzna sam za możliwe nie straci ani chwili, żeby przyjechać i zamieszkać z nimi w Finlandji lub w Anglji.

Wreszcie, Sawinski, korzystając z chwili uciszenia się burzy, wstrząsającej miastem postanowił pojechać na dwa dni do rodziny. Z pewnem zakłopotaniem udzielił tej wiadomości Lidji Siergiejewnie. Widywał ją codziennie i wytworzyła się pomiędzy nimi taka zażyłość, że wydawało mu się, jak gdyby nie miał prawa opuszczać ją bodaj na czas tak krótki. Powiedział jej to, gdy się przechadzali w ogrodzie nad Newą, gdzie się wznosi bronzowy posąg Piotra Wielkiego.

— Pojmujesz, kochanie—rzekł— że będę się ogromnie niepokoił o ciebie. „Co się dzieje w mieście?" będę zapytywał siebie co chwila „Czy tam aby spokojnie? Czy nie strzelają na Newskim? Musisz mi przyrzec, że będziesz bardzo ostrożną i że nie popełnisz żadnego szaleństwa. Gdybyś się tak zgodziła nie wychodzić z domu do mego powrotu? To jedno uspokoiło by mnie trochę. Wmówiłem w siebie, że nie możesz ruszyć się krokiem bezemnie.

Ale Lidja bardzo żywo odmówiła.

— Czyż ja dziecko? — rzekła — Miasto jest spokojne. Niczego panu nie przyrzeknę. Będę wychodziła prawdopodobnie z moją przyjaciółką Heleną. Co się tycze szaleństw, popełniłabym je chętnie; ale to nie tak łatwo, jak pan sobie wyobrażasz.

Umilkła na chwilę.

Dalszy ciąg nastąpi.